

**OD** DAWNA już nie mieliśmy na estradzie Filharmonii Narodowej tak wspaniałego zestawu amerykańskich solistów. Najpierw więc — Jessye Norman, potężna Murzynka z Georgii (ostatnio zresztą rezydująca w Londynie), jeden z najznakomitszych dziś sopranów świata — wysoko ceniony zarówno na scenie operowej (La Scala, Covent Garden itp.) jak i na estradzie koncertowej; w Warszawie dała recital przyjęty wręcz owacyjnie! Potem przyjechali bracia Paratore: Anthony i Joseph — duet fortepianowy najwyższej światowej klasy. Kontakt z Filharmonią Narodową nawiązali przed czterema laty... w Australii, kiedy to podczas tournée FN byli solistami paru jej koncertów, teraz — zjawili się w Warszawie z recitalem: od Mozarta po Lutosławskiego, z „Obrazkami z wystawy”, rozpisanymi na 2 fortepiany pośrodku. I wreszcie ostatnio — przypomniał nam się także Garrick Ohlsson, zwycięzca Konkursu Chopinowskiego z roku 1910; jedyne jak dotychczas spośród tych konkursów, któremu ton nadawali Amerykanie (i on, i Jeffrey Swan).

Minęło 13 lat, a Ohlsson jakby nic nam się nie zmienił. Wysoki, przystojny, grał z młodzieńczą werwą, z młodzieńczym uniesieniem i młodzieńczym, silnym, wspaniałe dźwięcznym tonem. To mocne, zdecydowane uderzenie trochę odromantyzowało chopinowskie nokturny i Ballad f-moll, bardzo efektownie, wręcz orkiestralnie, zabrzmiało w utworach Skriabinina (Poemat Fis-dur, dwa tańce, V Sonata Fis-dur), stylowo przekazało Sonatę Es-dur op. 27 Beethovena... Był to jeden ze świetniejszych występów pianistycznych tego sezonu; jeszcze jeden dowód, że laureaci warszawskiego konkursu wyrastają na ogół na wielkich artystów (Argerich, Pollini, z Polaków — Zimmerman) i jeśli można czasem zgłaszać pretensje do konkursowych jurorów, to raczej o to, że kogoś nie docenili, niż o to, że kogoś przecenili.

Przekonał się również, że bynajmniej nie przeceniono w świecie sztuki Bernarda Pomerance'a „Człowiek-słoń”. Sztuka zrobiła w świecie ogromną karierę: była sukcesem scen londyńskich, sukcesem na Broadwayu, wystawiono ją ogółem w 16 krajach, została sfilmowana, no i na koniec — trafiła i do nas; polską premierę przygotował Teatr Współczesny. I podobnie jak wcześniej „Amadeusz”, czy „Equus” potwierdziły, że jeśli coś staje się światowym przebojem, to coś w tym musi przecież być, tak i teraz „Człowiek-słoń” okazał się sztuką nad wyraz atrakcyjną i dającą przy tym — jak się to mówi — do myślenia.

Pozornie rzecz jest prosta, niemal dokumentarna, a nawet może się wydawać, na pierwszy rzut oka, niesmaczna. Oparta na zdaniu autentycznym (autentyczne są także nazwiska głównych bohaterów) opowiada o życiu człowieka nieszcześliwego, Johna Merricka, zmarłego w londyńskim szpitalu w roku 1890. Merrick chorował na rzadką, ciężką i nieuleczalną wrodzoną chorobę,

W Filharmonii Narodowej — inwazja Amerykanów ● Mocne uderzenie (Garricka Ohlssona) ● „Człowiek-słoń” — światowy sukces teatralny trafił wreszcie i do nas ● Maja Komorowska dostarcza satysfakcji ● Norwidowski „Zwolon” — czy słusznie obudzony po 130 latach? ● Szewcowa powinna przecież być „czarująca”!

tw. nerwiakowłóknikowatość, powodującą zniekształcenia kości i ciała. W jego wypadku objawy te występowały ze szczególnym, wręcz niewiarygodnym, natężeniem; dokładny opis jego wyglądu, podany przez opiekującego się nim lekarza, dr. Trevesa, wart jest zacytowania choćby w największym skrócie. Treves pisze m. in.

Najbardziej uderzającą cechą chorego była odrznięta głowa, o rozmiarach równych młotek ułotwej obwodości w pasie u dorosłego mężczyzny. Z czoła sterczała ogromna kośćista narośl jak bułka (...) niemalże zakrywała jedno oko. Z górnej szczęki sterczała tana wielka kość (...). Płecy były straszne, podobnie zrostają z nich aż do połowy ud otrzymane wory żywego ciała (...). Fronsie ramię było bezkształtne (...) Z pierśi zwisał wór tego samego odcierającego mięsa. Z grzybowatych narośli skóry dobywał się obrzydliwy, trudny do znieśnienia, fetor (...). Jako chłopiec nabałwiał się on choroby biodra, która uczyniła go na zawsze kulawym. W dodatku jego mowa była belkotem zrozumiałym tylko dla tych, którzy mieli już niejaką wprawę w rozmowach z nim. Wystawiano go za pieniądze na jarmarkach, aby gawiedź mogła nagapić się na niezwyklego człowieka-słonia, jak określano Merricka w reklamowych anonsach. Jego vegetacja była pasmem adreń, nim na 4 ostatnie lata życia znalazł mniej więcej spokojny kąt i opiekę w londyńskim szpitalu; tył 36 lat — udułł go ciężar własnej głowy...

Autor słusznie uznał, że jakkolwiek próba odtworzenia wyglądu Merricka byłaby bezsensownym i abominacyjnym odwracaniem uwagi od właściwych intencji sztuki; zgodnie z jego sugestiami Adam Ferency, grający Człowieka-słonia w Warszawie, zaznacza jego kalectwo w sposób stonunkowo (jak na ogrom opisanych wyżej nieszczęść) niewielki, a zniekształcenia mowy — na tyle, na ile trzeba, by później podkreślać stopniowe polepszanie się jego dykcji, przy nawiązywaniu bliższych kontaktów z ludźmi.

Główny problem sztuki to — jak sądzę — rozpaczliwe dążenie do zachowania własnej godności, wbrew wszelkim, zabijającym ją, czynnikom. Człowiek upokarzany, znieważany, wyrzucony za sprawą choroby poza nawias normalnego życia, walczy ze wszystkich sił o to, by jednak zachować swoje człowieczeństwo, odnaleźć miejsce wśród ludzi i odnaleźć siebie pod grubą powłoką swych strasznych przypadłości. A ludzie pomagają mu w tym zmuszonym dziele — każdy na swój sposób. I każdy, starając się ukształtować go trochę na własne podobieństwo, z zadziwieniem odnajduje w nim jednocześnie jakby swoje odbicie, swoją gorszą(?) kopię...

Jest więc Człowiek-słoń także reje-strem ludzkich postaw, reje-strem koncepcji życia i koncepcji uszczęśliwiania innych, jaką każdy z nas nosi na sercu, jest wreszcie przekrojem angielskiego społeczeństwa epoki wiktoriańskiej — od nierozumnego motłochu, poprzez „kadre naukowe” i „artystyczną”, aż po arystokrację i nawet — dom królewski... Sporo jak na jedną sztukę. A dodajmy do tego jeszcze trzy wielkie, świetnie pomyślane role, jakie oferuje zdolnym aktorom. Czego trzeba więcej?

Spektakl we Współczesnym — interesująco, czysto, kameralnie zrealizowany przez Marcją Kochańczyką (reżyseria i scenografia) i ze znakomitą muzyką Zygmunta Koniecznego, ma wyborną obsadę: Adam Ferency — ostro wybijający się aktor młodego pokolenia — jako Merrick, Krzysztof Kolberger — jako jego opiekun i lekarz, dr. Treves, Maja Komorowska — jako aktorka, Madge Kendal. Szczegółowej satysfakcji dostarczyła właśnie jej rola, bo też rzadko — zbyt rzadko! — oglądamy Maję Komorowską w kreacjach odpowiadających wielkiej randze i wielkim możliwościom jej talentu, czyli — choćby w takich, jak właśnie pani Kendal.

A jeśli już mowa o satysfakcji, to znacznie mniej dostarczyły jej pierwsze — pod nową dyrekcją — premiery w Teatrze Narodowym i Teatrze Małym. Narodowy wystartował do nowego życia pozornie bardzo ambitnie, dając premierę (!) dramatu, czy raczej — jak określili to sam autor — monologii Norwida ZWOLON. Co prawda w ostatniej chwili okazało się, że chytry teatr z Kalisza bodaj o parę dni wyprzedził szumnie anonsowaną premierę warszawską, sobie ostatecznie przypisując zaszczyt „odkrycia” utworu, nie jest to jednak istotne, wydaje mi się bowiem, że po prostu... nie było o co walczyć. Ze rację mieli przede wszystkim ci, którzy przez 130 lat nie kwapili się z prezentacją Zwolonego, czy może raczej Zwolona, pozostawiając go historykom literatury i tym, którzy chcieli z nim obcować w zaciszu czterech ścian domowego ogniska. Widz, który pełen dobrej woli przychodzi do teatru (teraz już zresztą raczej nie przychodzi — w parę dni po premierze, widownia zajęta była w jedniel czwartej, może jednej piątej nawet, a i to dzięki dziewczynkom z internatu, przyprowadzonym przez sympatyczną zakonnicę), otóż ten rzadki widz mógłby bez fałszywego wstydu powtórzyć to, co napisał w roku 1851 o Zwolonie Lucjan Siemieński w kra-



kowskim „Czase”: Niezmiernie trudno zdać sobie sprawę z onych wierszy, powiązać logicznie myśli autora i powiedzieć czego chce. Dostyc przeczytać pierwszy utwór, aby ręce opuścić i powiedzieć sobie: na te hieroglify mogli, chyba jaki drugi Champollion się urodzi, jeśli urodzić się warto dla tak małej rzeczy. Ostro, lecz nie bez pewnej słuszności.

Inscenizatorzy i „odkrywczy” zapomnianych dzieł powinni bowiem pamiętać i o tym, że inna jest percepcja czytelnika, który czyta w skupieniu, może wracać nawet i kilkakrotnie do trudniejszych fragmentów tekstu, ma czas na zastanowienie się nad poszczególnymi sformułowaniami, wyłaniać ich ukryty nieraź sens i docenić wszelkie ich piękności, a ona — widza w teatrze, do którego nie każde słowo dociera, a każde przemyka lotem niemal błyskawicy już robiąc miejsce następnemu. Zwolona na scenie Teatru Narodowego — w pełnym szacunku skłonie przed wielkością Norwida, uczciwie sobie powiedzmy — metrum budziarstwo, z którego niewiele wynika. A jeśli już nawet myśli, intencję i tendencję autora się wyłuska, to w przeciwieństwie do inscenizatorki, dającej w programie wyraz swym poglądom, wcale nie jestem pewien, czy właśnie teraz nadszedł właściwszy moment, aby taką myśl lansować, i czy wstrz. dzisiejszy widz anno 1983, może (i powinien) ją zaakceptować, czy na taką myśl dzisiaj czeka.

Zwolona wyreżyserowała Krystyna Skuszancka, a uczestniczy w spektaklu spory tłumek aktorów, z Tomaszem Budytą w tytułowej roli na czele. Podziwiam wysiłek włożony w przygotowanie Norwidowskiego widowiska, ale entuzjazm wykrzesać mi z siebie niełatwo...

Podobnie jak i dla spektaklu znacznie mniejszej rangi i mniejszych ambicji: dla CZARUJĄCEJ SZEWCOWEJ Garcii Lorki na Kameralnej scenie Narodowego, czyli w Teatrze Małym. W tej pełnej wdzięku refleksyjnej komedii tym razem wdzięku ani na lekarstwo, a i na refleksje zdobyć się raczej trudno. Reżyser, Krzysztof Orzechowski, nie miał, jak sądzę, wyraźnej koncepcji całości przedstawienia, nie umiał nadać mu właściwego, jednolitego tonu i — każdy ciągnął je w swoją, nie zawsze najlepszą, stronę. Nawet tak doświadczony i znakomity aktor jak Tadeusz Janczar zbudował rolę Szewca na nużącym pojękiwaniu i żalonych minach, zaś Agnieszka Fatyga w tytułowej roli (dla tej roli wystawia się zazwyczaj komedię Lorki) miała wprawdzie kilka ładnych momentów i ładnie śpiewała piosenki, lecz nie wypożyła swej Szewcowej we wdzięk i swoistą poetykę. A przecież, jak sam tytuł wskazuje, ta Szewcowa, choć kawał chęlny, musi przecież być jednocześnie szewcową „czarującą”, co nie jest synonimem słowa „ładna” czy „śliczna”, lecz wymaga jeszcze czegoś więcej. No, a to co wyprawia w swej roli tak zdolny i świetny zazwyczaj młody Machalica (Aleksander) — wola o rychłą pomstę do nieba.

Plany repertuarowe obu tych scen nie zapowiadają, jak się wydaje, pozycji, na które już dziś czekałibyśmy z rosnącą niecierpliwością. No, ale poczekamy, zobaczymy, nie można niczego przesądzać...

LUCJAN KYDRYŃSKI